

W TUNELU...

XI

SRODA 13 IX 1939 r.

Z dwunastego na trzynasty, gdy mieszkańcy zasypiali niespokojnym, nerwowym snem ogłoszono alarm lotniczy. Pierwsze samoloty rozrzuciły na spadochronach „race świetlne”, które paląc się, zrobiły „z nocy dzień”, by ułatwić lotnikom celniejsze trafienia, w wypadku zburzenia obiektu. Obrona przeciwlotnicza rozpoczęła ostrzeliwanie tych samolotów, a ludzie biegając, szukali „kryjówek”. Był to pierwszy tego typu nalot, spodziewano się więc najgorszego z groźnych ataków terrorystycznych. Tymczasem bomby nie spadały, choć nadleciała następna fala samolotów. Po pewnym czasie cisza zaległa nad Lublinem. Alarm odwołano.

W dzień znów zabrzmiały sireny i oderwały się karabiny i działa przeciwlotnicze. Odnosimy wrażenie, że tych ostatnich jest znacznie mniej. Nie wiemy, czy zostały uszkodzone, czy zabrakło amunicji. Być może, że ewakuowano, a może uciekła obsługa? Piłoci już „otrakcyjnie” obrzucili bombami obiekty kolejowe, oraz ulice w centrum miasta i magazyny wojskowe na Wrotkowie. Obrona przeciwlotnicza „robi co może”, a Niemcy bezkarnie niszczą miasto. Są ranni i zabici oraz nowe straty materialne, tak w obrębie już poprzednio uszkodzonej elektrowni i na stacjach pomp wodociągowych. Straż nie może „podłączyć się” do hydrantów, gasi się więc przy pomocy wjader z wodą, lub starymi ręcznymi pompami, co w wykonaniu „ochotników” nie odnosi pożądanego skutku.

Po każdym nalocie narastał powoli strach, ale moim zdaniem gorsze było to, że leży się gorzko, zniechęcenie i poczucie bezsilności, nie tylko u ludzi w cywilnych ubraniach. Małe sklepiki wyczerpały już swoje zapasy, coraz większe braki żywności, nafty, świec, bo transport z magazynów jest utrudniony lub wręcz niemożliwy. Pojawiają się karbidówki, nie znane mi sprzed wojny, podziwiam ludzką zaradność. Konstruktorami tych lamp są przede wszystkim kolejarze. Dochodzą słycho o zorganizowanej grabieży.

Korzystając z radia na baterie, czekamy na komunikaty radiowe z Warszawy, a gdy opóźnia się sygnał, nas zebranych przy radiodbiorniku, ogarnia niepokój. Wiadomości z kwatery głównej naczelnego wodza są skąpe i trudne, prawie pesymistyczne, ponieważ armie zmuszane są przez lepiej uzbrojonego wroga, do dalszego, stalego cofania się.

Lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że obrona przeciwlotnicza, w czasie dzisiejszego nalotu uszkodziła jeden bombowiec, z którego ujęto dwóch pilotów. Przesłuchiwano ich w Komendzie Garnizonu przy ulicy Pełwisków 12, a później w Okręgu Korpusu (plac Litewski). Ludzie w porwywie gniewu domagali się natychmiastowego sądu na lotnikach, którzy zabijali bezbronnymi cywilnymi mieszkańcami naszego miasta. Twierdził, że takim powinno się odmówić „statusu jeńca”. Były to tylko pomruki zdesperowanych i osieroconych. Zwyciężyli prawo i godność narodu.

Podczas raportu poinformowano nas, że decyzją gen. Smorawskiego, dowódcy DOK II opartej na rozkazach naczelnego wodza, oddziały Przysposobienia Wojskowego, zostają włączone do zalogi, mającej bronić Lublina, ponieważ siły niemieckie podążają w kierunku miasta. Rozpoczęto też organizację nowych pododdziałów i reorganizację stanu jednostek wartowniczych PW. Część kolegów (Józef Chabrowski, Stasio Maciąg, Zdzisław Podkova i inni) odeszli z naszej wartowni „Tunel”. Niektórzy „trafili” do kompanii por. Gdułł, inni por. Perca. Harcerze starali się dostać pod komendę por. Iglatowskiego, harcmistrza, który dowodził „Harcerskim Batalionem Smierci”.

Decyzja obrony miasta odpowiadała nam bardzo, o porzuceniu czyli ewakuacji, jak to się pięknie mówi, nie myśleliśmy w ogóle. Duża liczba ochotników świadczyła też o chęci społecznej obrony swojego miasta. Ochotników już tak bardzo nie pytano o lata urodzenia i młodszy brat Antka, Mietek Poleć, mógł ziszczyć swoje plany.

Z punktów werbunkowych kierują ochotników do Szkoły Lubelskiej im. Stefana Batorego, gdzie otrzymują przede wszystkim broń, a nieraz i część umundurowania.

CZWARTEK 14 IX 1939 r.

Pogodna noc wrześniowa z 13 na 14 przeszła bez ataków lotniczych, choć część ludzi uparcie trwała w schronach, ponieważ atmosfera w mieście była pełna grozy i przynębiania. Część mieszkańców, ogarnięta psychozą zniechęcenia, objawiająca się biernością, u innych natomiast nerwy były na granicy wytrzymałości i ci przy każdej okazji wybuchali agresją.

W niektórych schronach ludzie przestali nie tylko rozmawiać, ale nawet śmiać, bo drażniło to zmęczonych współtowarzyszów niedoli. Były też i schrony, które zdominowały panie, z różnych kobiecych organizacji kościelnych. Umiały one swoją postawą i odpowiednimi modlitwami, wspólnie odmawianymi, zmieniać słabość w siłę, daremnie oczekiwania w pewność ocalenia, a uczucie klęski i zawodu w nadzieję zwycięstwa.

(Dokończenie na str. 9)

W TUNELU...

(Dokończenie ze str. 8)

Do miasta nadal napływają rozbite oddziały wojskowe i trwa ciągłe „zwycięski, zaplanowany odwrót”. Niektóre z nich, jak np. kompania PW ze Starachowic, którą dowodził por. Starewicz, to chłopcy w naszym wieku, a już „ostrzelani” w licznych walkach, z których wychodzili niepokonani. Opuszczali stanowiska bojowe tylko na wyraźny, powtórzony rozkaz.

Kolega z kompanii dostał przepustkę i różnymi „okazjami” dotarł do Puław, gdzie czasowo przebywa jego rodzina. Wrócił dzisiaj i opowiada, że na głównej szosie Lublin — Puławy i równoległych drogach polnych, trwa duży ruch, szczególnie od zmierzchu do świtu. Samochody wojskowe i cywilne mieszają się z furmankami i ręcznymi wózkami, pchanymi lub ciągniętymi przez ludzi. Bardzo dużo pieszych niesie w rękach lub na piecach różne toboły i walizki. Natomiast w dzień powstają zatory, a od czasu do czasu nadlatują samoloty i z broni maszynowej lub wiązkami granatów, sieją spustoszenie i panikę. Po takim nalocie są zawsze zabici i ranni, których jęki łączą się z krzykiem i płaczem, oraz kląskami uciekających na pobocza samochodów. Przeraziłwie rozdzierający krzyk rannych koni i krów, dopełnia te dantejskie sceny. Często nie ma kto udzielić rannym ludziom i zwierzętom, nawet pierwszej, nie mówiąc o fachowej pomocy. Widział nasz kolega, sporo porzuconych samochodów z powodu braku benzyny, lub uszkodzonych, których nie można zreperować. Niektóre samochody ciągną konie.

My, nadal nie wszystko w porę wiemy, ale widać, że w kierunku Lublina przemieszczają się jakieś kolumny wojsk niemieckich bo zabarykadowano wjazdy do miasta, wszystkich „strategicznych rogatki”. W mieście zapanowało duże napięcie i krząta plotki, oparte nie tylko na domysłach. Chciałem coś kupić do jedzenia. Niestety, zamknięte, przyknięte, a może i częściowo rozkradzione sklepy kolonialno-spożywcze i piekarnicze są nieczynne. Podobnie „prezentują” się sklepy Wedla, Mainla, Ignaszewskiego, Magierskiego i Kalickiego oraz Zunka. Zwisające druty połączeń telefonicznych miejskich, których nikt już nie naprawia, robią przynębiające wrażenie, które uzupełniają zaniedbani żołnierze.

Por. Iglatowski wyjaśnił nam, że zgodnie z rozkazem naczelnego wodza, opuszczają miasto jednostki Armii „Lublin” oraz gen. M. Smorawski ze sztabem DOK II. W Lublinie pozostaje natomiast powołany CYWILNY KOMITET OBRONY MIASTA, a czele którego stanął kpt. Stanisław Lis — Błoński. Komitet ma siedzibę przy ulicy Krakowskie Przedmieście 20. Dowódcą WOJSKOWEJ GRUPY OBRONY MIASTA został płk Piotr Bartak.

Kpt. Lis-Błoński na krótkiej żołnierskiej odprawie — spotkaniu z junakami, mówił spokojnym pełnym głosem, z którego wyczuwało się, że dotrzymuje słowa. Stwierdził, że zaistniała sytuacja, wymaga poświęceń i szczególnego wysiłku, i to na miarę życia. Niestety w związku z aktualnym etapem wojny u części ludzi zawiodły nie tylko siły fizyczne, ale i duchowe. To prawda, nie możemy już teraz łatwo zrealizować naszych obowiązków, pragnień i ambicji, choć jeszcze niedawno beztrzęsio śpiewaliśmy: „Nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic”. Oświadczam, wam, jak kontynuował, że słowa tej żołnierskiej piosenki sprawdzą się, gdy będziemy do końca twardzi i gotowi sprostać idącym czasom i zadaniom.

Dzisiaj też spotkałem kolegów Dubasa i Mogielnickiego z ulicy Stolarskiej, którzy z punktu werbunkowego zostali skierowani do gmachu szkoły lubelskiej przy ulicy Ewangelickiej, gdzie ochotnicy są ekipowani. Radość ze spotkania, mnóstwo pytań, bo dawno nie widzieliśmy się, a teraz nie były już istotne dawne wąśnie dzieciństwa, które dzieliły nas na krótko, oby tylko rodzice nie wtrącali się do nich. Przez kilka lat bawiliśmy się na jednym podwórzu. Jako dzieci na pewną dokończyliśmy nieraz sobie i innym, ale przykrości te wynikały z nieświadomości i były związane tylko z wiekiem. Tutaj ojciec mój reperował maszyny rolnicze, również i z majątków ziemskich tej miary co Świdnik pana Szczepańskiego. Tarło pana Bartkiewicza, którego brat, był znanym lubelskim malarzem, Rury Jezulickie pana Michalewskiego, który miał zawsze ładne samochody. W domach przy ulicy Stolarskiej (boczna Zamojskiej) mieszkało sporo rodzin żydowskich, w różnych warunkach materialnych, od skrajnej nędzy, do średniej zamożności. Część z nich żyła „po swojemu”, inni pracując bardzo ciężko na chleb, brali też udział w życiu całego narodu, myśląc kategoriami państwa polskiego. Jest to ważne, bo przecież stanowią prawie 10 proc. ogółu ludności Polski. Będąc dziećmi, chodziliśmy razem do kina Uciecha — Gwiazda, skubałiśmy wspólnie ziarna z dyni i jedli makagigi. Później jako dorastająca młodzież przyjaźniliśmy się i dyskutowaliśmy o swoich racjach religijno-narodowych, co nas ani dzieliło ani łączyło, bo pozostawaliśmy nadal sobą. Pamiętam jak „przechwaliśmy się” wyższymi uczelniami lubelskimi. Koledzy Żydzi twierdzili, że Jeszywa Chachmej — uczelnia mądrości, zlokalizowana w pięknym nowym gmachu na rogu ulic Lubartowskiej i Unickiej, jest jedyną w Europie. My z kolei argumentowaliśmy, że Katolicki Uniwersytet Lubelski, bierze swój rodowód, poprzez Wydział Teologiczny, aż z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. To oni „dokładali”, że koło ich uczelni, jest żarówka szpital, co w sumie jest więcej, bo tutaj można uczyć się wrażliwości i współczucia, a nie tylko „zaglądać” do książek. Może i mają rację, bo nauka bez miłości jest martwa.